Nr 5. 1860. 29 Października.

NIEWIASTA.

Codzienny obrachunek sumienia.

Rozprawiającym o naturze ludzkiej, należy wiedzieć, że nią jest sztuka.

Sztuka jest naturą ludzką tak dalece, że aż po dni nasze nikt nie jest w stanie wskazać człowieka naturalnego, czyli człowieka natury.

Człowiek jest takim jakim go uczyniło wychowanie bezpośrednie i pośrednie; wychowanie własne i obce.

Najprzemożniej wychowuje się sam człowiek wedle danych mu stosunków historyczno-towarzyskich, stósownie do mniejszej lub większej troskliwości, jaką około niego miano poprzednio, a wychowuje się człowiek sam od chwili w której nad sobą zastanawiać się począł.

Wtedy najtrudniejszem, a zarazem najkonieczniejszem zadaniem jego jest poznanie siebie samego. Poznawać ludzi drugich i znać ich dobrze — toż nie mała sztuka. Cóż dopiero poznawać siebie — swoje wady, których nie chcemy sobie przyznać, ułomności, które miłością własną sobie przebaczamy.

Wielką pomocą do poznania samego siebie jest rachunek ze swem sumieniem.

Można i należy zatem każdemu powiedzieć i powtarzać: rachuj się najdokładniej codzień z swojem sumieniem, ażebyś się poznał — i ażebyś sam mógł najlepiej wychowywać się wedle uczynionego z własnem sumieniem rachunku, trwając w dobrem, a poprawiając dostrzeżone złe.

Jeżeli zaś dostrzeżone złe, miłość własna pragnęłaby zasłonić, sumienie będzie ci wtedy sprawiedliwym sędzią, którego się ulękniesz.

Zbrodniarzem ten dopiero zostaje kto już głosu swego sumienia nie słyszy.

Choćbyś był rozsądnym i roztropnym, choćbyś zdradę swą, choćbyś fałsz swój wyrozumował i uniewinnił rozsądkiem, praktycznością — widokami przyszłości, materializmem zysków — na nic twój rozsądek, na nic twój rozum, sumienie to wyższy władca nad wszystko — sumienie skarci cię — i zarzuci rozsądkowi twemu i i zdradę i fałsz i oszustwa i każdą zbrodnię.

A jako z twem sumieniem stoisz, wiedzieć ci trzeba, abyś mógł być szczęśliwym.

Masz więc najdostateczniejsze powody, do najściślejszego rachowania się z swojem sumieniem codziennie.

—1.—

Paryż 7 października.

Wybaczcie piękne panie, że wam przerwę na chwilę kontemplacye mód paryskich i pomówię nieco o paryskiej literaturze.

— O literaturze? A to ktoś zabawny! zawołacie pewnie — śliczny mi przysmak literatura . . . dobrze tam wreszcie o niej słuchać na pensyi — ale tu, kiedy my zastanawiamy się właśnie nad tem, która z tych malowanych sukien ma najwięcej atrakcyi, któren z tych stroików najcelniejsze ciska groty — obradujemy poważnie, który z tych fontazi najlepiej nam przypada do twarzy i rozwiązujemy ważny problemat, co lepiej przypiąć, wolant-li czy angażanty? Co tryumfuje świetniej przy blasku gazowym, kolor różowy czy biały? Ty wyjeżdżasz z literaturą. Prawdziwie mój panie nie w porę się wybrałeś.

— Mnie się zdaje, że w porę.

— Nie w porę!

— W porę — bo właśnie kiedy rozmyślacie nad przystrojeniem głowy zewnątrz, ja dopomogę do jej wewnętrznej dekoracyi, bez czego nie odniosłybyście na przyszłym balu zwycięstwa, bo nic szpetniejszego jak głowa strojna a pusta. Ciało bogato ubrane, a dusza w łachmanach. Przedewszystkiem trzeba starać się o harmonią — bez niej, wierzcie mi, człowiek zawsze potworny, a czyny jego chrome.

Broń mnie Boże żebym przypuszczał, że nie czytacie i nie myślicie: pragnę tylko żeby obok ostatniej mody paryskiej stanęła w główkach waszych ostatnia książka paryska — żebyście zarówno ciało i umysł stroiły.

Powyższe życzenie objawia wymownie w swem dziele Daniel Stern.

— Któż to ten Daniel Stern?

— A widzicie, że się już zaczynacie pytać. Tego chciałem.

Daniel Stern, jestto literacki pseudonim kobiety pięknej, rozumnej, a do tego bogatej i herbownej, hrabiny d'Agout.

— To pewnie dzieła tej hrabiny nie wiele warte, kiedy się na nich nie śmie podpisać?

— Takby się zdawało. Nic w istocie niedorzeczniejszego a nawet śmieszniejszego jak te napuszyste pseudonimy, pod których cieniem autorki jak pod baldahimem, wjeżdżają w literacką arenę — ale cóż, kiedy mimo to, są w modzie na całym świecie. Nie tylko w Turcyi ale i we Francyi kobieta jeszcze przed publicznością musi występować zakwefiona, a to dla rozmaitych przyczyn: dawniej z powodu wdzięków, dziś z powodu intelligencyi; godłem jej: *kryj się*. Tak było od wieków. Ateńczycy w dzień ślubu dawali pannie młodej sowę... smutny symbol zaiste, a tem smutniejszy, że go wymyślił najprostszy i najpogodniejszy naród na świecie.

Tak tedy, po wszystkie czasy, wąsy miały monopol intelligencyi. W Paryżu mianowicie płeć brzydka ciemiężona przez piękną *de facto, de jure*, chce rej wodzić koniecznie i klucz od państw rozumu nosi zawsze w kieszeni.

Jeżeli zdarzy się przypadkiem że kobieta ma talent, ba, nawet geniusz, musi przybrać natychmiast jakieś nazwisko męzkie, a to pod karą szubienicy — talent jej bowiem jest uważany za kradzież męzkiej własności, uznano, że tylko mężczyzna posiada zdolność myślenia; kobieta jeźli ją ma, to do czego innego: na to, żeby umiała rozumny obiad zadysponować, lub dowcipny stroik wymyślić.

Oto stanowisko jakie w Paryżu do dziś dnia naznaczają umysłowi białogłowy, wykształcone głowy męzkie.

Jeżeli nie wierzycie, spytajcie filozofa Cousin'a. Ten drogi kleinot akademii francuskiej, w imie filozofii od-

syła niewiasty do kuchni—zupełnie tak jak nasz Trentowski. Czasami, w napadzie platonicznej gorączki, wywołuje on wprawdzie nadobne widma rozumnych kobiet siedemnastego wieku, nosi w tryumfie Chevreusy i Longueville — ale nawet w obec tych wizyj książęcych, nie tai przekonania, że kobieta powinna żyć z pochyloną głową nad igłą — i milczyć.

Lamennais jeszcze surowszy dla niewiast od filozofów: ten poprostu nienawidzi pięknej połowy rodu ludzkiego. „Kobieta! woła, już nie wiem w którem dziele swojem, to maszyna do uśmiechania, żywa statua głupoty! Gadaj do jej rozsądku, ona wzrok wodzi błędny, a jeśli nie przestaniesz gadać, za wachlarzem poziewa... Prawda jest dla niej zamkniętemi drzwiami. Stwórca lepiąc ją z resztki gliny, zapomniał włożyć intelligencyi: cień zastępuje w jej głowie miejsce mózgu.“

Tak wyrokował o was, ów wielki, zasłużony, ale kwaśny i nic na kobietach nie znający się nieboszczyk.

„Nierządnica albo kucharka“ wyrzekł o niewiastach inny myśliciel francuzki, Labruciére, a za nim cały szereg literatów francuskich powtórzył toż samo, tylko mniej wyraźnie, i powtarza to codzień, większą lub mniejszą dozą anodynowych komplementów przysypując swą wzgardę dla kobiecej głowy.

Cożby ci panowie powiedzieli o kobietach innych krajów, kiedy tak wyrokują o francuzkach, górujących rozumem nad resztą płci swojej?

Przeciwko takim to wyrokom, od wieków zapadłym i nie zwalonym we Francyi nawet gienialnemi utworami takich autorek jak pani Stael, pani Sand i pani Girardin — protestuje Daniel Stern w ostatniem swem dziele, pod napisem „*Esquisses Morales.*“

Jestto rodzaj dziennika; ulotne zapiski kobiety czującej i myślącej, która tylko pod wpływem wrażenia lub natchnienia, spisywała swoje uwagi o najważniejszych kwestyach społecznych, a mianowicie o charakterze, wychowaniu i przeznaczeniu niewiast. Szkice te są nie zawodnie jedną z najpoważniejszych książek, jakie w ostatnich latach pojawiły się we Francyi — co nie przeszkadza że Francuzi często z uśmiechem je czytają. Ale z czegóż bo dzisiaj nie śmieją się ludzie! Szyderstwo, mianowicie w tak zwanych wyższych sferach, za wdzięk jest uważane, i nader tanią daje wyższość; w słowniku pięknego świata, *szydzić* znaczy górować nad wiarą. Sąd ironii tem dogodniejszy od sądu rozumu, że niewymaga żadnej nauki.

Nie trudno byłoby przekonać o niewłaściwości owych uśmiechów i owych przycinków, jakiemi niektórzy krytycy paryscy obsypali panią d'Agout, przytaczając tu parę wyjątków z jej znakomitej książki — nie chcę atoli, oskubywać najpiękniejszych listków z tej centofolii kobiecego rozumu, lepiej będzie jeźli ją same oskubiecie. Dla tych którym ta książka nie wpadnie w ręce, wypisuję z niej jeden mały ustęp.

Daniel Stern wysokie zakreślając stanowisko kobiecie, widząc cały ogrom i ważność jej obowiązków, surowo karci te, które wyciągnąwszy, że tak powiem zły numer na loteryi swych przeznaczeń, oddając się rozpaczy, lub gorszemu od niej zobojętnieniu; co czułe z natury, zamiast te skarby na pożytek bliźnich obrócić, topią je we łzach samolubnych z których nikomu nic nie przyjdzie.

„Niepodoba mi się, że kobiety tak wiele płaczą — powiada Daniel Stern. Twierdzą one że są ofiarami — Ale czyjemiż ofiarami?— Ofiarami swego ograniczenia, które zaślepia; próżniactwa, które je oddaje na pastwę nudom; słabości duszy, która je czyni niewolnicami; płochości, która za jeden stroik każe przyjąć sto upokorzeń; mianowicie zaś są ofiarami owej miłości umysłu, która czynność jego do intryg miłostkowych lub swarów domowych ogranicza.

„Mniej płaczcie, a więcej czyńcie, drogie czytelniczki moje. Pamiętajcie, że cnota nie żywi się łzami, ale uczynkiem dobrym i zapomnieniem o własnej niedoli. Porzućcie więc błagalne gesta i deklamacye, stańcie o swojej mocy i aby raz spojrzyjcie prawdzie oko, w oko—a natychmiast zawstydzicie się swych jęków. Wtedy pojmiecie, że Opatrzność nie skazała was na bezsilność; a cierpienia dała wam tylko jako bodziec postępu. Wasza bezwładna melancholia, czcze westchnienia i czułość bezpłodna, są owszem przeciwne jej zamiarom. Otrzejcie łzy, powtarzam — weźcie udział w twardej i skomplikowanej pracy waszego wieku; przekształcająca się społeczność potrzebuje waszej pomocy. Myślcie i działajcie, a obaczycie, że wnet braknie wam czasu do opłakiwania waszych urojonych bolów i narzekania na tak zwaną niesprawiedliwość losu, która nie jest czem innem jeno bardzo sprawiedliwą karą waszej ciemnoty, płochości i lenistwa.“

Co rozumie autorka przez *wzięcie udziału w pracy naszego wieku* spytacie może? — Co? Kształcić umysł czytaniem dzieł pożytecznych; ukochać jakąś ideę i zaciągnąć ducha swojego do niej na służbę; apostołować ją słowem i przykładem; przyłożyć ręki do arki postępu; nieść pomoc słabym, pociechę cierpiącym, przebłagać zbyt surowe prawa; wziąść pod opiekę duszę jakąś, choćby duszę własnego dziecka — i tym sposobem, przyłożyć się chociażby jednem słowem, choćby jedną kroplą potu do wielkiej pracy dźwigającej się w górę ludzkości.

Bo z dwóch rzeczy jedna: albo trzeba żeby kobieta wzięła życie na seryo, albo żeby była lalką i lalkami się bawiła. Praca, albo stroje, — niema środka. Dotąd mężczyzni jedno tylko powołanie przyznali kobiecie: błyszczeć i podobać się za pomocą błyskotek. Powinni być zadowoleni ze swego systemu wychowania; we Francyi mianowicie powiodło się ono nad spodziewanie: kobieta tylko błyszczy i tylko o tem myśli jakby się podobać zewnętrznemi powabami. Żądzy tej nawet starość tu nieukróca.

Patrz na tę matkę rodziny: ma dorosłe córki bez posagu — o tem wie każdy. Jednak ta matka, bez szacunku dla krwi własnej, w czasach kiedy próżniacze fortuny: jak pałace z kart rozwiewają się, zdmuchiwane coraz szybszym obrotem pracującego koła — ta matka mówię, ciągnie za sobą z wielkim szumem, cały sklep drogich materyj, za cenę których mogłaby opłacić całoroczny wydatek domowy.

Cóżkolwiek w tym przedmiocie orzekli nasi i francuscy filozofowie, kobieta stworzona równie jak mężczyzna do życia umysłowego, dziś skutkiem fałszywego kierunku wychowania, wkłada całą godność swoją i całą pomyślność, w gałganki i świecidła. Dostać je za jaką bądź cenę, byle błyszczeć, byle zwracać na siebie oczy, oto zadanie główne, jedyne. Próżność podsycana obficie, z każdym dniem rośnie. W końcu, żeby zapłacić aksamity i koronki w których tak do twarzy, bierze się pieniądze nie zważając zkąd, byle mieć owe cacka, bez których na kobietę nikt nie patrzy.

Po tej pochyłości dalej a dalej próżność ciągnie, aż w końcu w przepaść hańby wpycha.

Ileż kobiet w nią wpadło! Więcej dobrych niż złych, takich któreby pewnie zostały dobremi gdyby im nie powtarzano wciąż że im do twarzy w brylantach.

W takim upadku moralnym, jakże potrzebna książka wskazująca kobietom inne powaby, niż te które można kupować za złoto, inne zwycięstwa niż balowe — inne ambicye niż ambicyą podobania się męzkiemu oku za

pomocą dekoracyj kryjących pustki duchowe. Słysząc tak zdrowe rady, tak wzniosłe pobudki jak te które Daniel Stern płci swej wygłasza — człek dobrej woli czuje że chwila odrodzenia bliska.

Kiedy po żniwach jesień cicho nadejdzie i jako runt nocny zmiata przed sobą życie i oddaje ziemię spoczynkowi, wszelka radość zda się znikać na zawsze. Zmrok zalega atmosferę, kształt gasi i nadaje wszystkiemu pozór widma. Słońce pozbawione blasku, czasami tylko zpoza chmur wyziera — mdlejące jego wejrzenie smutnem jest jak pożegnanie... Natura wdziewa żałobę, kwiat mrze na swej łodydze, liść spada i pod nogami przechodnia szeleści; kruki latają nad wzgórzami i krakaniem swem niby urągają zmartwychwstaniu. Niebo zamiast wieczorem zapalać gwiazdy, te wieżdzby co nad głowami naszemi jaśnieją, topnieje we mgle pomiędzy drzew szkieletami i płacze... a łzy spadają kroplami z suchych gałęzi na zeschłe liście, wydając głuchą nutę pogrzebną, nie opisanej żałoby.

Wnet przybywa zima. Śnieg spada i głuszy nawet szelest ludzkiej stopy... Człek chodzi cicho jak cień po głuchej ziemi... i niby wszystko się skończyło!... róża nigdy już nie zakwitnie, grono nigdy się nie zarumieni. Wszystko umarło — ale wrzekomo tylko. Wśród tego omdlenia fermentuje życie... natura gotuje nowe siły do nowych cudów. Nakoniec pod pierwszem promieniem słońca który nań z płaszcza wiosny się stacza, bucha naraz życie, z niewyczerpanym przepychem kwiaty zmartwych powstają, kolory tryskają z ziemi jak drogie kamienie — człowiek w jeden dzień odzyskuje wszystkie stracone nadzieje.

Otóż książka w której Daniel wskazuje wzniosłe cele i żywot czynny odrętwiałem kobietom, jest jak ten promień wiosennego słońca — przeczytajcie ją, a dusza wam się odrodzi. *Sygma.*

PRZYWYCZKI.

Komedya w 4 aktach.

AKT I.

(Ciąg dalszy.)

SCENA V.

(Pyszalski trzymając za rękę Jasia, prowadzi go przed żonę.)

PYSZALSKI. Czy widział kto. No proszę? — jak cię kocham żono, Jaś Przyzwoliński syn mego najlepszego przyjaciela *(ukłony)* — bardzo dobry chłopiec, tylko nieśmiały, papa więc jego a mój najlepszy przyjaciel prosi aby go tu okrzesać między nami — no weźcie go sobie, jak cię kocham Polciu.

(Jaś gapiowaty w niezgrabnym ubiorze.)

(JAŚ *(zmięszany)* Tak jest . . . ojciec nie tyle dobrego mówił co mama . . .

PYSZALSKA. Proszę, proszę siadać — bardzo nam przyjemnie. Panowie się nie znają? To Chrobrzyński *(ukłony.)*

(Adam przybliża się do Pawliny mówiąc po cichu.)

(Jaś Przyzwoliński chrząka chce mówić, Pyszalska to samo, więc oboje mówią:) Przepraszam.

(Pyszalski, który zaraz siadł na boku, zaczytał się w gazecie).

PYSZALSKA. A piękna to familya Przyzwolińskich, dom starodawny i rozrodzony jak mówi Paprocki.

JAŚ *(półgębkiem.)* W Płockiem, pani dobrodziejko.

PYSZALSKA. W Płockiem i Rawskiem *(wzdycha.)*

O miło to jest nosić historyczne imię, dzisiaj wobec tak sprzecznych i różnorodnych żywiołów, to wielka rzecz mieć się zasłonić herbowną tarczą.

PYSZALSKI *(podnosząc oczy z gazety.)* Co tam żono pleciesz jak cię kocham o żywiołach, to nie kobieca rzecz, zostaw to już naszym głowom *(uderza się w czoło.)*

(Ton Pyszalskiego, uderzania się w czoło, a Pyszalskiej „wzdychania“ jest charakterystycznem, a więc się będzie często powtarzało.)

PYSZALSKA. Ależ kiedyś dobrze mężu nie słyszał.

PYSZALSKI. Niesłyszałem? no proszę! *(czyta dalej.)*

PYSZALSKA *(znów chrząka.)* Pan także w Płockiem — któż tam teraz w sąsiedztwach mieszka, — w dziecińćstwie mojem bywałam tam wszędzie.

JAŚ. Z sąsiedztwa? *(wylicza na palcach)* państwo sędziostwo Rybiczewscy.

PYSZALSKA *(wykrzykując)* Rybiczewscy! znam, znam herbu Mora?

JAŚ *(w kłopocie)* Nieuważam — potem państwo Szczupakiewiczowie. . .

PYSZALSKA *(przerywając mu ciągle.)* Co pan mówisz Szczupakiewiczowie herbu Wieniawa? — A toć ona cioteczna siostra mojego brata ciotecznego, który jest wujem — zaraz czekaj pan — wujem szwagra Szczupakiewiczowej, Karpiszewskiego.

JAŚ *(wachająco)* Tak? — jakże to może być, kiedy proszę pani dobrodziejki, przecież pani Szczupakiewicz jest cioteczna siostra mego szwagra.

PYSZALSKA. Tak? –– A to i między nami jest nawet blizkie powinowactwo, bo, zaczekaj pan . . Pawlinciu chodżno, mężu, *(Pawlina i Adam przybliżają się.)* Uważasz Pawlinciu, Szczupakiewiczowa jest kuzyna szwagra pana Przyzwolińskiego, a Szczupakiewiczowa . . .

PYSZALSKI *(staje pomiędzy nimi.)* Wystawcie-no sobie,— no proszę! — to nie Talleyrand powiedział *„la parole est nous donnée pour deguiser notre peusée,“* to Wolter, tu oto czytam . . .

PYSZALSKA. Ależ pozwólże mężu . . .

PYSZALSKI. Ależ moja Nepciu, przecież *to ważniejsze, (chwytając za ramię Przyzwolińskiego.)* Uważasz pan, jak cię kocham, Wolter to powiedział nie Talleyrand. Co za odkrycie! zaraz poszlę do wszystkich gazet, trzymasz gazety polskie?. . .

JAŚ *(zmięszany)* Tak jest. Mama trzyma kuryera warszawskiego.

PYSZALSKI. Ha, ha, mama trzyma, no proszę! *(Siada napowrót do stołu i głęboko się zamyśla.)*

PAWLINA. Czy wesoło w tej okolicy, gdzie pan mieszka?

JAŚ. Oh, bardzo wesoło, w karnawał bezustanku tańczymy, a w lecie na murawie.

ADAM *(z ironią.)* Na murawie i często?

JAŚ. Prawie raz w tydzień, bo albo u pana Rybiczewskiego, albo u pani Szczupakiewiczowej, albo u pana Wielorybskiego.

ADAM *(półgłosem do Pawliny.)* To tam jak w stawie.

PAWLINA *(z uśmiechem.)* A panien wiele?

JAŚ. O bardzo dużo, to jest nie wiele, ale za to takich dzielnych chłopców to u nas masa.

ADAM *(na stronie.)* Skromny.

PYSZALSKI *(zrywa się.)* Nie nudźcie też, tylko chodźcie, pokażę wam dwie broszury z XVII wieku, jak cię kocham, chodźcie.

PYSZALSKA. To póżniej mężu, pan Przyzwoliński musi być zdrożony.

JAŚ. O nic a nic pani dobrodziejko — ja jestem bardzo silny, a wyjechałem po tęgiem śniadaniu.

PYSZALSKA. Ja, bo i tak iść muszę, a siedzę sobie jak za dobrych czasów *(wzdycha.)* Widzi pan na cośmy to dziś zeszli, muszę pracować jak prosta szlachcianka.

JAŚ *(odprowadzając ją.)* Kapka w kapkę, jak moja mama, mama to nawet mam rzec prawdę, do krów chodzi.

Pyszalska wychodzi, Pawlina i Adam śmieją się — Jaś nieśmiałym krokiem powraca.)

Jaś *(na stronie.)* Taka wystrojona panna, że aż się boję, ale co mi tam, mama kazała.

Pawlina *(powstrzymując śmiech.)* Pan musisz bardzo gospodarstwo lubić?

Adam. I woły?

Jaś *(zdziwiony.)* A pan to zkąd wiesz?

Adam. A bo jeżeli mama dobrodziejka do krów chodzi..

Jaś. Ha. ha!— rzeczywiście kocham się w bydle!

(Pawlina i Adam głośno się śmieją.)

Jaś *(reflektując się mówi na stronie.)* Mówiła mi mama, żebym głupstwa nie zrobił. *(Głośno.)* To jest, państwo nie mają się przyczyny śmiać, bom się tylko źle wyraził.

Adam *(drwiąc.)* Owszem bardzo dobrze — alboć to bydło nie stworzenie

Jaś *(zapalając się.)* Jeszcze jakie poczciwe; żeby pan wiedział; — to zaprzęgniesz pan wołu, jeść mu nie dasz, bijesz a on pracuje pomimo tego; ho, ho, niechby tak pana zaprzęgli.

Pawlina *(do Adama śmiejąc się.)* Wet za wet panie Adamie.

Adam *(ostro.)* Bez przykładów panie Przyzwoliński, słysząc pana zupełnie to sobie wyobrażam.

Pawlina. Więc pana tylko gospodarstwo zajmuje, nic więcej?

Jaś *(naiwnie.)* O, i strzelba, konik i tańce.

Pawlina. A poezya naprzykład?

Jaś. Po... ezya *(na stronie.)* Jezus Marya ratuj *(głośno.)* Ja i to choduję, nawet Malczewską Maryą znam.

(Adam tymczasem przechodząc się tu i owdzie, pocichu wychodzi. — Pawlina kokietuje.)

Scena VI.

Pawlina. Tak jak pan gospodarstwo, ja lubię czytać i jeżeli pan dłużej u nas zabawi . . .

Jaś. Ah! panno dobrodziejko, mama dała mi nieograniczony urlop.

Pawlina *(trochę się przysuwając.)* Spodziewam się, że pan z niego skorzystasz?

Jaś *(drapiąc się.)* Jak mamę kocham, że tu bardzo miło.

Pawlina. I to pan na prawdę mówisz?

Jaś. Niech mię wszyscy . . . *(chwytając się za usta.)* To jest, ja rzadko kłamię, łaskawa panno dobrodziejko.

Pawlina *(podchwytując.)* Rzadko? — a więc przecie czasem, naprzykład oświadczając się z miłością?

Jaś *(półgłosem.)* Tak mnie coś głaszcze po sercu. —Hm, z miłością, to nie, . . . bo ja jeszcze właściwie nigdy . .

Pawlina. Nigdy nie kochałeś?

Jaś. To, to — to jest nie, bo juścić pannę Katarzynę Oskumińską aż dwa razy w rękę pocałowałem, tylko . . .

Pawlina. Tylko pan nie umiesz określić tego uczucia?

Jaś *(patrząc zdziwiony mówi krótko.)* Ehe *(na stronie)* Bestyjka wcale sobie sprytna.

Pawlina. Lecz je pan czujesz? *(na stronie.)* Co mi to szkodzi, jeden więcej.

Jaś *(po namyśle.)* Czuję, *(na stronie.)* Co ona chce odemnie.

(Słychać głos Adama za sceną.)

Pawlina *(prędko.)* Panie Przyzwoliński, potem więcej pomówimy — a teraz pamiętaj pan więcej myśleć o tem uczuciu, jeżeli się pan chcesz nauczyć określać. *(Wybiega.)*

Scena VII.

(Jaś chwilę stoi nieruchomy, nareszcie powoli powtarza:) „Pamiętaj pan więcej myśleć o tem uczuciu, jeżeli się pan chcesz nauczać określać, — to jasno — tylko tego jeszcze nie rozumiem, co się mam nauczać określać — i tego, co ja mam właściwie myśleć. — E, co mi tam o to, dobrze mi tu, mama kazała mi tu siedzieć i pannie się podobać. Juścić powinienem się podobać, bo ona to wcale sobie dziewczyna zuch . . . *(oglądając się.)* Jak tu ładnie, hm, hm. — *(Zamyśla się, — wtem wchodzi niepostrzeżony Adam i uderza go po ramieniu, Jaś się nagle odwraca.)*

Scena VIII.

Adam. Cóżto, na rumianem młodziana licu tęskna jakaś zaduma?

Jaś. A tak.

Adam. Nie możnaby wiedzieć z jakiego powodu?

Jaś. A dlaczego nie — tylko że ja sam nie wiem.

Adam. Możeśmy zakochani?

Jaś. My? — tego nie wiem.

Adam. W pannie Pawlinie, co?

Jaś. Nie wiem, jak mamę kocham.

Adam *(z ironią.)* No, to przynajmniej pan tyle wiesz, że mamę kochasz.

Jaś *(prostodusznie.)* Bo też to co innego matka, a co innego taka wystrojona panna, jak panna Pyszalska.

Adam. O zupełnie co innego.

Jaś. Tak, że nawet nie wiem czego się chwycić, bo mama wprawdzie kazała mi się pannie Pawlinie podobać.

Adam. Cóż łatwiejszego!

Jaś. Djabła tam, gadasz pan to nie tak łatwo.

Adam *(ostro.)* Nie gadajże ty tylko, żeby mama na ciebie nie płakała.

Jaś *(zatrwożony.)* Ho, ho, pan mnie bierzesz na fundusz, co to? *(Przybliża się do niego, w tem drzwi się otwierają Tarabański wchodząc staje we drzwiach, potem rzuca się Adamowi w objęcia.)*

Scena IX.

Tarabański *(ściskając go.)* Drogi Adamie tyś tutaj? — ale zkądżeś się wziął?

Adam. Właśniem cię o to chciał zapytać — ja bywam tu już od dawna, a potem wszak wiesz, jestem doktorem medycyny.

Tarabański *(śmiejąc się.)* Aha! leczysz głowy i serca, a jużto zdaje mi się te ostatnie najlepiej.

Adam. No, daj pokój i ty potrafisz to choć nie aleopatycznie; — ale na seryo, zkąd tu spadasz?

Tarabański *(oglądając się po pokoju.)* Ładniutki salonik.— Oto widzisz kochany Adasiu, jakto wiesz ja, co w sercu, to i w czynie. — Kiedyś byłem w stolicy za interesami. Już znudzony wsiadałem na bryczkę, która stała przed hotelem zaprzężona, gdy w tem patrzę: dwie damy przesuwają się tuż koło mnie, z których jedna uśmiechając się pokazała mi prześliczne ząbki. Dalejże ja naturalnie za niemi, chodzę, patrzę, panienka śliczna jak . . . malina, ciągle się na mnie mile spogląda. Ha! myślę sobie — może to taka i wola boska, nie daruję. Nuże więc dopytuje się kto to, i dowiaduję się że panna Pawlina.

Adam *(na stronie.)* Znów ona!

Tarabański *(zastanawiając się.)* Cóż ty?—*(po chwilce.)* Że to panna Pawlina Pyszalska. Nie wiele myśląc, zwłaszcza, że mi się ogromnie a nagle, co za dobry znak biorę, przylepiła do serca, postanowiłem się zapoznać. O to nie trudno, i tak też niedawno zapoznawszy się w sąsiedztwie, dziś jestem tu z drugą wizytą.

Adam. Z drugą? — a mnie nic nikt o tem nie wspomniał.

Tarabański. Jakto? — toś ty tu już tak dobrze? *(spostrzegając Jasia, który na stołek wlazł przypatrywać się obrazkom.)* A to kto?

Adam *(z humorem.)* Przedstawiam ci pana Przyzwolińskiego młodego obywatela, który tu za pozwoleniem mamy do dawnych znajomych ojca swego przyjechał.

(Jaś pospiesznie złazi ze stołka i kłania się niezgrabnie.)

Jaś. Czas też już był, abyśmy się poznali — bardzo mi przyjemnie.

Tarabański (*pod nosem.*) Mnie nie koniecznie. (*Jaś odchodzi znów do obrazków, Tarabański zwracając się do Adama ciszej.*) Więc ty może się i kochasz w Pawlinie?

Adam. Dziwne masz myśli i zapytania; nie znam się na ceregielach.

Tarabański. Wszak wiesz, że ja zawsze taki. (*przysuwając się*) Powiem ci nawet więcej, ot przyjechałem li dla tego aby się z Pawliną ożenić jak najprędzej, dlatego też jak cię, poczciwy Adasiu, kocham serdecznie, takbym się strzelał z tobą gdybyś mi przeszkadzał.

Adam (*zgryźliwie.*) Jakto rozumiesz przeszkadzał? więc gdybym naprzykład co jest nieprawdopodobnem w niej się zakochał, tobyś ty nie pozwolił?

Tarabański. Zabronić nie mogę — alebyśmy kulą rozstrzygnęli, kto tu ma pozostać.

Jaś (*przyskakując.*) Kulą pan powiadasz — a to dobrze bo i ja z tym panem mam na piwko.

Adam. Na piwko? — ależ mój panie ja tylko wino pijam.

Jaś (*przyskakując zaperzony.*) No, no, pan znów!

(*Pyszalski we drzwiach woła:*)

Pyszalski. No proszę!—panów aż trzech, jak jaki kongres, to ciekawe! Ale, ale, panie Adamie proszę tu pana, mam biust Bajrona, cudo, jak cię kocham!

(*Drzwi się zamykają, Adam wybiega.*)

Scena X.

(*Tarabański i Jaś.*)

(*Tarabański chodzi zamyślony — Jaś chodzi znów od obrazka do obrazka.*)

Tarabański (*jakby do siebie.*) To bieda! — Zdaje mi się, że się Adam kocha! — o! i musi się dobrze kochać, skoro się bardzo nie zapiera, on taki skryty i szyderczy. — (*Wstaje i chodzi po pokoju.*) Taki walny chłopiec. Sprawa pójść może krzywo...

Jaś (*przyskakując.*) Krzywo pan mówi? i ja to samo.

Tarabański. Co takiego?

Jaś. A ten obrazek tu przywieszony.

Tarabański (*wzrusza ramionami, po chwili mówi.*) Pan tu na długo?

Jaś (*półgłosem.*) Jacy tu wszyscy ciekawi. — Tak sobie, jak mi się będzie podobać...

Tarabański (*ostro.*) Kto taki?

Jaś (*z flegmą.*) Alboż ja wiem.

Tarabański (*machnąwszy ręką.*) No, tego się nie boję. (*Znów siada zamyślony.*)

Jaś. E, już mi się nudzi, bodaj to siedzieć w domu, to zawsze tak przez tę mamę,

Tarabański (*powstając.*) Myśleć nie mam czego, jak będzie, tak będzie, a teraz do pań (*wychodzi.*)

Jaś (*za nim idąc powoli.*) A ja do stajni, jeszcze tam nie byłem. (*Zasłona spada.*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

(*Dalszy ciąg.*)

Z tych to burzliwych i niebezpiecznych dla rzpltej czasów mamy cały szereg listów Anny Jagiellonki do Hoziusza w Rzymie i liczniejsze jeszcze tego ostatniego korespondencye. Zebrał je Ambrozy Grabowski w swoich „Starożytnościach polskich.“ Tyczą się one sprawy sukcesyi barskiej, wyświecają matactwa hiszpańskiego i innych dworów w interesie wielkiego majątku królowej Bony, który pełnem prawem jagiellońskiemu należał się domowi. Mają atoli miejscami także ważność polityczną, jak to okażemy.

Skoro nalegania stanów koronnych o przyjazd Henryka pozostały bez skutku, skoro ostatni termin na dzień 12 maja 1575 r. położony minął, senat i szlachta zebrała się w Stężycy nie tak dla obioru nowego króla, jak raczej dla rozstrzygnięcia kwestyi czy król, który rzeczpospolitą opuścił, na kilkokrotne prośby nie wraca, który tym sposobem złamał *pacta conventa*, obowiązuje naród do posłuszeństwa. Partya Henryka była jeszcze za silną, Rakuska za wiele wzniecała obawy, i zjazd stężycki nie przystąpił do elekcyi. Złamanie przysięgi królowi raziło mocno duszę prawowitego narodu. Wtenczas napad Tatarów, którzy przeszedłszy Dniestr na 40 mil w około popalili wsie i dwory szlacheckie i niezliczone mnóstwo mieszkańców w jasyr pobrali; napad ten do reszty wszelkie skrupuły poniszczył. Opinia publiczna przypisała go niebytności króla a stronnicy rakuscy poszli tak daleko, że Henryka obwiniali o stosunki z Tatarem.

Żebrany 4 października sejm konwokacyjny oznaczył elekcyą na dzień 4 listopada, aby wszelkie machinacye francuzkie uniepodobnić. Nawet najzagorzalsi Henryka stronnicy Zborowski, Tęczyński i Secygniowski opuścili straconą sprawę a poseł jego Guy de Tour, pan na Pibrac, którego pocieszne awantury w Polsce mogą być przedmiotem komicznego romansu, wyniósł się straciwszy wszelką nadzieję.

Rozpoczęły się na nowo walki stronnictw i zabiegi pretendentów. Stary cesarz Maxymilian i syn jego Ernest stali jak podczas elekcyi Henrykowej na pierwszym planie. Duchowieństwo katolickie, możni panowie litewscy i koronni jednani od dawna zabiegami wiedeńskiego dworu życzyli sobie cesarza lub jego syna. Szlachta silnie różnowierstwem wzruszana, wolności swej jako oka w głowie strzegąca, obawiająca się wojny tureckiej jako koniecznego skutku elekcyi Rakuszanina, z niechęcią nakoniec patrząca na ducha przewodnictwa w duchowieństwie i przyjaznych cesarzowi panach objawiono: całą potęgą odpierała wiedeńskie zamysły, i żądała króla rodaka, czyli jak go zwano Piasta. Silne wystąpienie szlachty, wśród której Jan Zamojski późniejszy kanclerz i Mikołaj Sienicki, Aryanin przewodzili, skłoniło wielu ambitnych senatorów do przejścia na stronę szlachecką: Zborowscy z wyjątkiem Krzysztofa, Kostka, Szafraniec, Tęczyński opuścili obóz rakuski. Trzech ostatnich podawano na kandydatów do tronu: wymówili się jednak niezdolnością. Partya cesarska zdawała się upadać poraz drugi.

Wtedy prymas Jakób Uchański, ów chwiejący się niegdyś w wierze biskup, dziś najzagorzalszy katolik ustąpił z koła rycerskiego i w mieście, na miejscu przeciwnem prawu, które króla na Woli ogłaszać kazało, otoczony stronnikami swemi, na których czele stał Mielecki wojewoda podolski, ogłosił Maxymiliana II królem i natychmiast w kościele św. Jana *Te deum* odśpiewał. Podczas nabożeństwa była przytomna nasza Infantka, która zapewne dzieliła katolicki sposób widzenia partyi rakuskiej.

Powszechne oburzenie powstało na ten krok zuchwały, na ten otwarty rokosz przeciwko udzielności narodu. — Nawet sam marszałek Opaliński stronnik zagorzały cesarza nieaprobował czynu prymasa. Świętosław Orzelski, autor zajmujących pamiętników, czynny na ówczesnym sejmie, nazywa go zbrodnią. Było nawet kilka zamachów na życie prymasa.

Samowolna elekcya Maxymiliana miała atoli tę dobrą stronę, że przyspieszyła zgodny Batorego wybór. Przelękniona szlachta czuła potrzebę mianować króla, któryby energiczną ręką ujął ster rządu i potłumił stronnictwa przeciwne. Batory, zalecany przez doktora Blandratę, Aryanina podobał się innowiercom dla religii, a całej szlachcie dla osobistej dzielności. Jan Zamojski znający dobrze ducha narodu, padł pierwszy na myśl szczęśliwą obrania Infantki Anny, już przódy przez posła szwedzkiego zaleconej. Anna mogła być różczką pokoju między stronnictwami. Stanisław Górka, kasztelan międzyrzecki dodał, aby była wydaną za Stefana Batorego. Z tą zgodą wysłano do Infantki kilku senatorów.

Infantka była w mocy stronnictwa rakuskiego. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, syn Czarnego, stronnik cesarski, był jej opiekunem. Secygniowski naczelnik wojska, które służyło zamiarom prymasa, obstawił żołnierstwem zamek w którym Infantka mieszkała. O piędziesiątoczteroletnią Infantkę o mało nie przyszło do boju, niby o jaką Helenę grecką.

Posłowie oświadczyli Annie wolę szlachty. „Wiecie waszmość, odpowiedziała Infantka, że ś. p. król jegomość brat mój, wyznaczył mi testamentem senatorów opiekunów, nic bez ich rady czynić mi nie wolno, chciejcie więc do dnia jutrzejszego poczekać na odpowiedź moją.“

Odpowiedź ta byłaby musiała wypaść niepomyślnie, gdyż Mikołaj Radziwiłł w przytomności kasztelana Żarnowskiego powiedział Infantce: Niepójdziesz w. k. m. za nikogo innego za mąż, jak za arcy-księcia Ernesta, zwłaszcza że cesarz Maxymilian jest już królem naszym. Na co Anna odrzekła: I mnie i rzplitą woli Najwyższego oddaję . . . *)

Dwór królewnej niepodzielał znać rakuskiego usposobienia otaczających. Gdy Secygniowski po dziedzińcu zamkowym się przechadzał, sędziwa jedna matrona otworzywszy okno zawołała na niego: Cóż to z was za rycerz, że kobiet pilnujecie, zamiast na granicach tatarską krew przelewać?! Srogim na nią marsem spojrzał Secygniowski, ale nic nieodpowiedział.

Tymczasem koło rycerskie obrało jednogłośnie Stefana Batorego, pod warunkiem, aby się ożenił z Anną. Dla potwierdzenia wyboru wyznaczono zjazd jędrzejowski na 14 stycznia 1576 roku, wysłano zarazem posłów do Stefana Batorego i cesarza, aby obu o prawej uwiadomić elekcyi.

Biedna Anna ujrzała się w późnym wieku jabłkiem niezgody, oblubienicą poszukiwaną wszechstronnie nie dla osobistych przymiotów ale dla swego politycznego znaczenia. W takiem położeniu uważała za rzecz najlepszą siebie i naród oddać woli bożej. Stronnicy cesarscy wyjednali w Wiedniu formalne przyrzeczenie, że się arcy-książe z nią ożeni, a nawet że cesarz synowi królestwa ustąpi. Duchowieństwo parło ją do tego kroku a kardynał Hoziusz w liście z dnia 25 lutego 1576 r. nakłania ją otwarcie do postąpienia podług rady Rakuszan a nie tych co się oddzielili (?) „Będzieszli w. k. m. mocnie się trzymała, nie zabłądzisz, ale jeżlibyć ustąpić miała, boję się iżby i tam w. k. m. wielką sobie trudność zadała, a w neapolskiem królestwie wszystko potraciła.“ Jakoż, skoro Anna przyjęła rękę Stefana Batorego, cesarz stanowczo przeszkadzał w sprawie odebrania kapitałów barskich, a sam Hoziusz dopiero w liście z dnia 28 listopada 1576 r. uznał Annę królową polską, kiedy go same okoliczności (śmierć Maxymiliana) od przysięgi cesarzowi złożonej uwolniły.

*) Jeżeli Batory był młodszym od Anny, to arcy-książe Ernest mógł być jej synem, bo liczył lat dwadzieścia dwa.

Energiczne kroki Batorego wyprzedziły znowu o wiele powolne cesarza działanie. Zaprzysiągłszy podane mu przez pospólstwo *pacta conventa* bez restrykcyi, wysłał na zjazd jędrzejowski posłów, którzy umieli zalecić swojego pana. Posła rakuskiego Rosenberga odpalono, zwalając winę na gwałtowność prymasa. Zjazd łowicki, przez tego ostatniego zwołany był nieliczny, a na sejm krakowski, przez stronników Batorego zgromadzony, zjechało się ogromne mnóstwo szlachty i panów. Cesarz paraliżował wszystko targowaniem się o pakta, a oburzał groźbami wojny.

W początkach marca stanęła w Krakowie Infantka Anna, witana wspaniale przez poczty najprzedniejszych panów. Jechała w bogatej kolebce, pięknemi końmi ciągnionej, za nią w wytwornych karocach poczet poważnych matron. Stanęła na zamku, w komnatach króla Henryka.

Posłowie Stefana przybyli wnet z oświadczeniem o jej rękę. Odpowiedziała Anna: że je uprzejmem przyjmuje sercem, cieszy się z przybycia książęcia, a co do małżeństwa zastosuje się do woli senatu i rycerstwa.

Cesarz dopiero wtenczas dnia 10 kwietnia zaprzysiągł w Wiedniu *pacta conventa.* Prymas, zwoławszy zjazd warszawski naprzeciw krakowskiemu sejmowi upornie obstawał przy swoim elekcie, pomimo, że go najzagorzalsi opuszczali stronnicy. Wtedy królewna Anna wysłała doń Karnkowskiego biskupa kujawskiego z prośbą aby się dalej nie sprzeciwiał woli narodu. Prymas ustąpić nie chciał.

Ale Stefan Batory przez Pokucie spieszył już do królestwa swego. W Śniatynie spotkał go ks. Jan Dymitr Sulikowski, późniejszy arcy-biskup lwowski i autor pamiętnika o królu Stefanie. Wysłało go duchowieństwo aby się o religijnem usposobieniu elekta przekonać. — Stefan wyznał, że od dawna przychyla się do wiary kościoła rzymskiego i słuchał mszy przez Sulikowskiego odprawionej. Sulikowski wracając do Krakowa, dodał ducha duchowieństwu i wiele do powszechnej przyczynił się zgody.
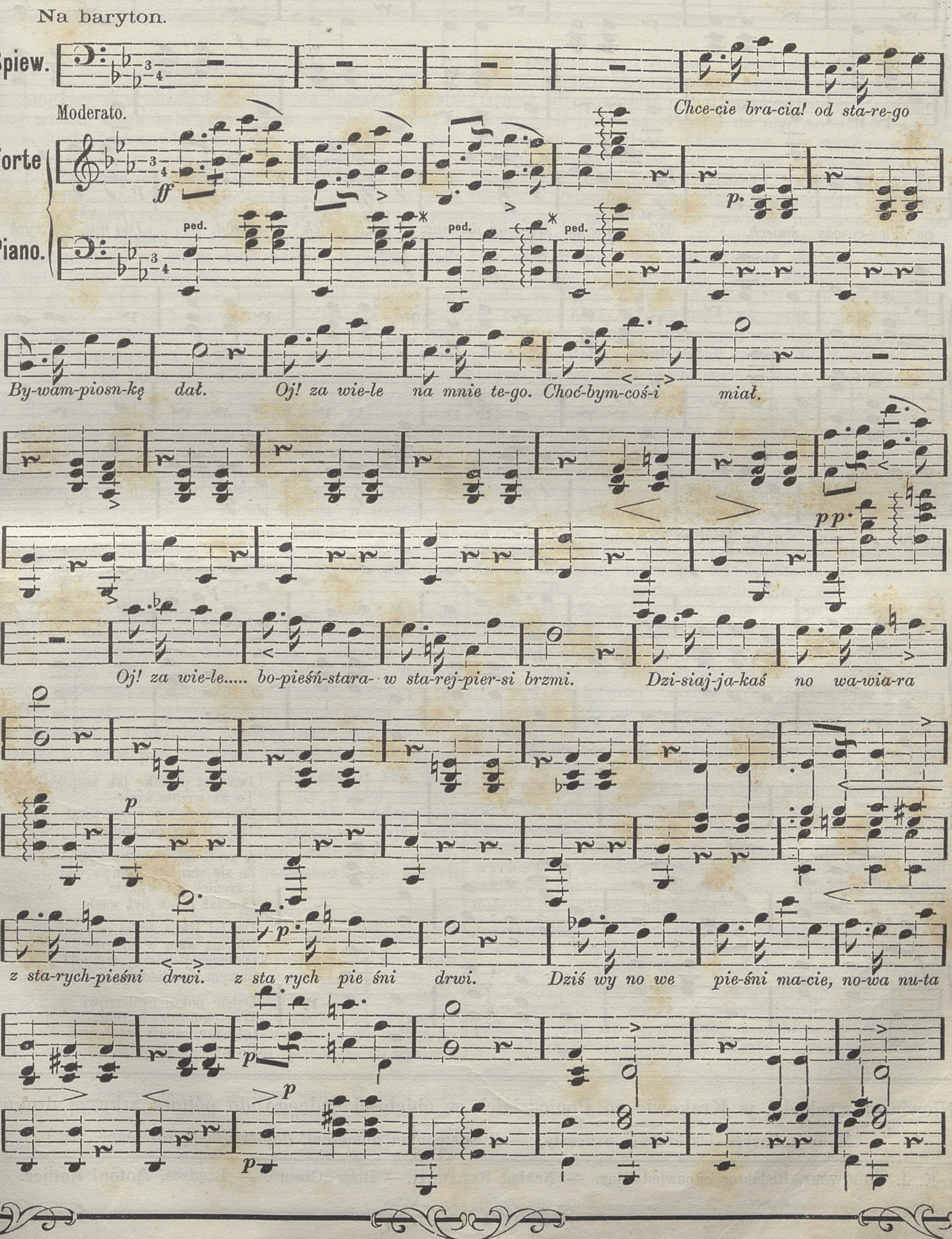
Dnia 18 kwietnia 1576 roku, w drugi dzień Wielkiejnocy wjechał nareszcie Stefan do Krakowa. Droga z Mogiły do miasta, dwie mile licząca, zabrała dzień czasu, tak częste były oracye pojedynczych panów. Wszystkie pola między stolicą a Mogiłą, napełnione były zbrojnemi szykami, lskniły się przed słońcem kopie i tarcze, migały proporce, trzęsły się pióra srebrzyste u skrzydeł husarzy, rozlegał się w powietrzu huk trąb i kotłów.“ Tęczyński w orszaku swoim miał Etyopów, srebrną lamą okrytych, wielbłądy i inne rzadkości wschodu: poczet jego częścią z węgierska, częścią z turecka był ubrany. Stefana hufiec był skromny ale doborowy. Podobała się powszechnie jego szlachetna postać świadcząca o sile i energii, jego twarz marsowa, jego prostota i dobitność w ruchach i mowie. I niezawiódł się na powierzchowności naród: Stefan był może najtęższym królem polskim.

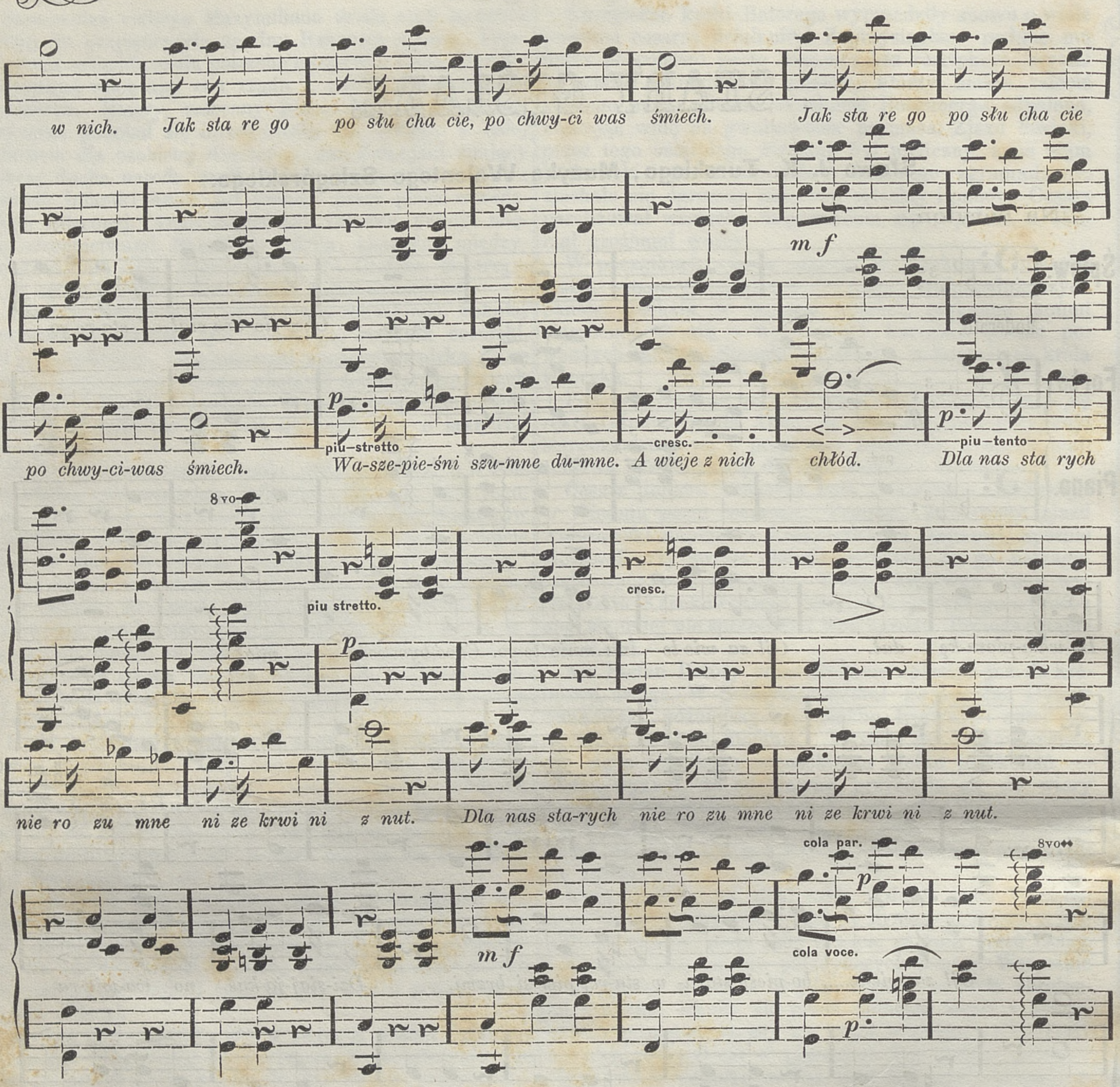
Ślub z Anną był atoli Stefanowi nie na rękę. Chciał go odwlec różnemi sposoby, nawet przeciwnemi astrologów wróżbami. Byli tacy, którzy podsłuchując tego tętna duszy nowego króla, wyraźnie mu królewny odradzali. Ale Stefan zwalczył prędko przykre uczucia i ze względu na pospolite dobro ukląkł z Anną przy ołtarzu. — Anna z swej strony nie mało robiła trudności z przyczyny, że jej opiekun Radziwiłł, któremu ją brat polecił był statecznie przeciwny, że Litwini jeszcze na Stefana nie przystali. Pod naciskiem przeciwnego stronnictwa skleiło się nareszcie to małżeństwo ściśle dyplomatyczne z razu, a pełne na potem błogich skutków dla kraju.

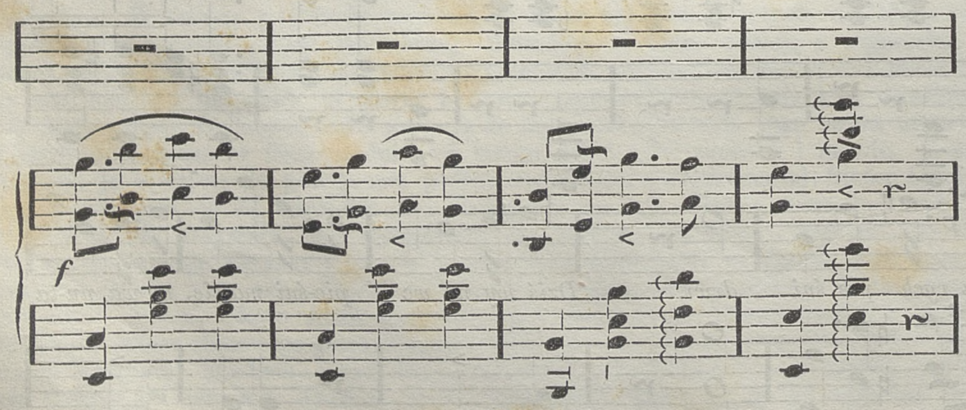
(*D. n.*)

STARY GĘŚLARZ.

Słowa J. K. Turskiego, Muzyka Walentego Szlagórskiego.







Dawniej piosnkę jak zaśpiewał,
To aż wrzała krew —
Gęślarz strony porozrywał
Tak go zagrzał śpiew.

A myśl taka wielka była,
Że się wznosił duch,
I źrenicę łza wilżyła
Chociaż człek był zuch.

Dzisiaj jakoś świat majaczy;
Nie ma wam w co grać —
Oj inaczej dziś — inaczej! . .
Starym czas iść spać.

Dajcie pokój gęślarzowi
Wnet go wezwie Bóg;
Gdy mu zmarli szeregowi,
On gęśl swoją stłukł.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku

Mody z Paryża jeszcze nie nadeszły. — Z następnym numerem, dopiero będą rozesłane.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca, **Antoni Rother.**